Nr. 223 We Lwowie Poniedziałek dnia 12 Sierpnia 1895. Rok XXVIII.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o godzinie 8 rano.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego“ Plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 zł. — półrocznie 9 zł. — kwartalnie 4 zł. 50 ct. — miesięcznie 1 zł. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 centów miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 zł. — półrocznie 12 zł. — kwartalnie 6 zł. — miesięcznie 2 zł.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 40 sr. gr. — do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 50 franków — kwartalnie 20 franków.

Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca
Telefon Redakcji 171.

Sionizm.

Lwów 10 sierpnia.

Myśl wskrzeszenia żydowskiego państwa w Palestynie — pisze p. Byszkowski w warszawskim *Przeglądzie tygodniowym* — nigdy nie opuściła żydów — kiedy niekiedy omawiano ją zupełnie jawno, jak to uczynił np. Spinoza, i ta myśl zajmowała nietylko żydów. Tak np. wedle słów autora Napoleon I myślał na serjo o wskrzeszeniu państwa żydowskiego w Palestynie. Później, w r. 1848, Francuz Ernest Labaranne w swej książce *„La nouvelle question orientale“* podniósł tę samą myśl i wzywał żydów i nieżydów do „odbudowania wrót siońskich.“ Naśladował go słynny żydowski agitator Mojżesz Hess, wydając 1862 r. książkę p. t. *Rom und Jeruzalem*, która miała wielkie powodzenie. Disraeli w powieści *„Dawid Alroy“* i George Elliot w romansie *„Daniel Deronda“* także objawili swoje sympatje dla myśli wskrzeszenia państwa żydowskiego. Te wszystkie głosy i zawezwania nietylko pozostały bez jakichkolwiek praktycznych wyników, ale nie znalazły nawet oddźwięku w pośród samych żydów, których przed obecną epoką zajmowała myśl asymilacji z innemi narodowościami z zachowaniem tylko religji.

„Wtem nadszedł rok 1882. Kiedy pierwszy popłoch minął, bezdomni żydzi naraz przypomnieli sobie, że daleko na południu znajduje się ich stara siedziba Od tego roku rozpoczyna się ruch żydowsko palestyński, obejmujący jednocześnie wszystkie kraje, w których żydzi żyją w większej liczbie. W Rosji powstaje pierwsze wielkie stowarzyszenie „Montefiore“, które stawia sobie za cel kolonizowanie Palestyny żydami; stowarzyszenie to, potwierdzone przez władze pod nazwą „Stowarzyszenia dla pomocy żydowskich ziemian i rzemieślników w Syrji i Palestynie“, liczy obecnie tysiące członków; główny zarząd jego znajduje się w Odesie, a wykonawczy komitet w Palestynie, w mieście Jaffie Stowarzyszenie to powstało w r. 1884 za inicjatywą pierwszego „międzynarodowego“ kongresu Sionistów w Katowicach na pruskim Szlązku, w którym wzięli udział delegaci żydów z Niemiec, Anglji i Francji.

Od tego czasu ów ruch szybko rozpościera się. Tworzą się stowarzyszenia, czyli dokładniej filje stowarzyszeń kolonizacyjnych w Anglji, w Ameryce, Francji i Niemczech, a nakoniec w Austrji i Rumunji. Stowarzyszenia dzielą się na dwie kategorje: jedne są dobroczynnemi, podtrzymującemi datkami kolonje w Palestynie; drugie są wzajemnej pomocy: członkowie ich płacą stałe składki, celem zakupna ziemi w Palestynie. Berlińskie stowarzyszenie pierwszej kategorji „Esr“, bardzo liczne, wysyła rocznie do Palestyny znaczne sumy. Do wiedeńskiego stowarzyszenia „Zion“, które się niedawno utworzyło, należą wszystkie żydowskie filje Sionistów w Galicji.“

W ostatnim czasie program Sionistów znacznie rozszerzył się: postawili sobie za cel duchowe odrodzenie żydowskiego ludu i odosobnienie go od innych narodowości, a jako środek do tego celu obrali sobie pielęgnowanie ojczystego hebrajskiego języka i literatury. Temu dziełu oddają się krom żydowskich uczonych i literatów także cztery wiedeńskie stowarzyszenia akademickie

Do Galicji przeszczepiony został sionizm z Wiednia w roku 1884, kiedy we Lwowie zostało założone pierwsze narodowo żydowskie stowarzyszenie; z początku jednak propaganda żydowskich narodowców szła bardzo tępo. Ale w roku 1890 sionizm pozyskał wielu stronników w różnych sferach żydowskich nietylko we Lwowie, ale i w całej Galicji. W Tarnowie powstało nowe, ważne ognisko tego ruchu; w roku 1892 nastąpiło porozumienie pomiędzy lwowskimi a tarnowskimi Sionistami i postanowiono silne zorganizowanie wszystkich galicyjskich Sionistów. W roku 1893 odbył się we Lwowie pierwszy zjazd ich, na którym opracowano program Sionistów, jako nowego politycznego stronnictwa. Zjazd Sionistów jawnie okazał, że ich stronnictwo dwojaki cel ma na oku: zewnętrzny — utworzenie żydowskiego ogniska w Palestynie i utrzymanie związku z żydami w całym świecie, i wewnętrzny — specjalnie miejscowy, mianowicie: b r o n i e n i e ż y d o w s k i c h i n t e r e s ó w w G a l i c j i

„Sioniści podjęli rękawicę, rzuconą żydowstwu urządzeniami, zmierzającemi ku wyrugowaniu żydów ze wszystkich ekonomicznych pozycyj, ku oczyszczeniu z nich sioł i miasteczek, mianowicie zakładaniem około tego czasu w Galicji kółek rolniczych, spożywczych i roboczych stowarzyszeń itp. Podjęli rękawicę z pełną świadomością moralnego uprawnienia swych przeciwników, zmierzających do ekonomicznego oswobodzenia tubylczej ludności od żydowskiego wyzyskiwania. Krom tego postanowili Sioniści przygotować w Palestynie przytulisko dla tych żydów, którymby przyszło upaść w ekonomicznej walce — dla których wedle dosłownego wyrażenia programu zjazdu n i e b ę d z i e m o ż n a z n a l e ź ć w G a l i c j i o d k r y t e g o s t o ł u.“

Oto całkiem nowa pieśń zupełnie niepodobna do tego wszystkiego, co w toku kilku ostatnich dziesiątek lat wszystkie chrześcjańskie społeczeństwa przywykły słyszeć od żydów. Zamiast obłudnych zapewnień o gotowości asymilacji z tubylczą ludnością, głosi się jawnie żydowską odrębność i narodowe zjednoczenie żydów wszystkich krajów; zamiast zgody na podstawie obywatelskiego równouprawnienia, głosi się ekonomiczną wojnę przeciwko tubylczej chrześcjańskiej ludności, broniącej swego dziedzictwa i uprawnionych interesów.

Widocznie żydzi w Austrji poczuli się już dostatecznie silnymi i postanowili, zdjąwszy długo noszoną a niepotrzebną już maskę „zjania“, przejść do otwartej walki, już nie odpornej, ale zaczepnej i mieć w zapasie przytulisko w Palestynie dla inwalidów, którzyby w walce upadli. Przyszłość, z pewnością już nie daleka, okaże, czy żydzi nie omylili się w swej rachubie, przenosząc otwartą walkę z przeciwnikami nad poprzednie zdradzieckie korsarstwo pod jednym sztandarem. Być może, że to uda im się w Galicji, jak już udało się w Węgrzech, ale można być pewnym, że dla reszty żydowstwa będzie to pyrusowem zwycięstwem, a dla chrześcjan najlepszem, najjaśniejszem i przekonywającem pouczeniem o tem, czego można spodziewać się po żydach tam, gdzie czują się na siłach.

Ruch antichrześcjański w Chinach.

Zdaje się, że obok pokutującej już od kilku dziesiątków lat kwestji bałkańskiej, powstanie teraz inna, niemniej drażliwa i niebezpieczna kwestja, która już stale zakłócać będzie spokój Europy i w ogóle cywilizowanego świata, k w e s t j a c h i ń s k a. Kolos państwa chińskiego znajduje się dziś w zupełnym rozstroju, który wobec słabości rządu centralnego w Pekinie łatwo w straszną anarchję zamienić się może. Jeszcze bowiem nie przycichły echa wojny chińsko-japońskiej, jeszcze następstwa wojny tej staną się przedmiot bezustannych kombinacyj politycznych i nerwowym niepokojem napełniają dyplomatów europejskich, a już z Chin nadeszła nowa wieść hiobowa, która wstrząsnęła do głębi całym światem cywilizowanym, i zapewne ważne za sobą pociągnie następstwa polityczne, jeśli rozpaczliwym wysiłkom walczącego z śmiertelną agonją rządu chińskiego nie powiedzie się raz jeszcze zażegnać grożącej burzy. W południowo-wschodniej prowincji chińskiej Fokien wybuchły groźne rozruchy, skierowane przeciw Europejczykom; ofiarą tych zaburzeń padły chrześcjańskie misje tamtejsze.

Rozmiary i szczegóły rozruchów i rzezi tej nie są jeszcze dokładnie znane, z dotychczasowych atoli wiadomości wnosić już można, że są to rozruchy poważnej natury, wykraczające daleko po za miarę częstych tamże zaburzeń lokalnych. Wojna chińsko-japońska dała się Chinom we znaki dotkliwiej zapewne, niż z pozorów sądzić można — zwłaszcza pod względem ekonomicznym i wywołała w wielu okolicach groźne wrzenie. Japończycy zawdzięczają zwycięstwa swe głównie kulturze europejskiej, którą sobie przyswoili, więc nienawiść szerokich mas ludu chińskiego zwraca się w pierwszej linji przeciwko tej kulturze, jako źródłu wszelkich nieszczęść, jakie na kraj spadły i przeciwko jej reprezentantom. Wiadoma rzecz, że już od kilku dziesiątek lat istnieją w Chinach t a j n e s t o w a r z y s z e n i a, których celem zwalczanie cisnącej się różnemi drogami do wnętrza państwa kultury europejskiej. Potęga stowarzyszeń tych wzrasta porówno z upadkiem siły i powagi rządu pekińskiego i już zagraża nawet wprost tronowi dynastji mandżurskiej. One to też są sprawcami rzezi ostatniej.

Pierwszym objawem groźnego dla Europejczyków, a szczególniej dla misjonarzy, wrzenia między ludnością chińską były rozruchy, jakie się już w końcu maja roku bieżącego — a więc bezpośrednio po zawarciu pokoju z Japonją — wydarzyły w miejscowości Czengtu. Jak zwykle, tak i w tym wypadku powstały one z małoznaczącej na pozór przyczyny. Lekarz tamtejszej misji protestanckiej zniewolony był operować żonę pewnego Chińczyka, spodziewającą się macierzyństwa. Ocalił on przez to dziecko, ale matka umarła. Wnet ajenci tajnych stowarzyszeń rozszerzyli po mieście wiadomość, że lekarz umyślnie ową kobietę zamordował. To też, gdy przybył on skonstatować śmierć jej, podburzony przez nich małżonek rzucił się na niego z taką furją, że tylko sile swych muszkułów zawdzięczał ocalenie. W jednej atoli chwili zgromadził się tłum ludu, który z krzykiem: „Śmierć obcym!“ puścił się w pogoń za szukającym w ucieczce ratunku lekarzem. Następstwem tego był napad na wszystkie tamtejsze zakłady misyjne, które częścią spalono, częścią zdemolowano zupełnie. Misjonarze, ostrzeżeni zawczasu, zdołali się schronić na okręty europejskie i tylko jeden z nich, francuski biskup katolicki Dunaub, niebezpiecznie pobity i poraniony został. W braku żywych ofiar, rzucił się tłum rozjuszony na groby misyjne, wydobył z grobu kości ściętego przed siedmdziesięciu laty przez Chińczyków biskupa Dufresse i obnosił te kości po mieście i okolicy, pod pozorem, że są to kości zamordowanych przez misjonarzy Chińczyków. Później wprawdzie, pod naciskiem państw europejskich, władze chińskie rozruchy te przytłumiły. Iskry wzburzenia tlały jednakże dalej w ukryciu, aż wreszcie znów wznieciły płomień szeroki.

Bezpośrednie przyczyny rzezi w prowincji Fokien nie są jeszcze znane. Rozpoczęła się ona napadem na sanatorjum misji protestanckiej w miejscowości Wachang pod miastem Kuczeng. Mieszkańcy sanatorjum zamierzali ocalić się ucieczką, ale wpadli w ręce rozjuszonego tłumu. Większa ich część poniosła śmierć straszliwą. Łuna płonącego gmachu misyjnego przyświecała scenom, których opisać żadne pióro nie zdoła. Tłum męczył swe ofiary w okropny sposób. Pomiędzy zamordowanymi znajdują się czynny w Chinach już od lat 20 superintendent misji w Kuczeng i Pingyang dr. Stewart i żona jego. Obu małżonków i jedno z ich dzieci wrzucono do domu płonącego i żywcem spalono. Inne ich dziecko umarło krótko potem wskutek ran poniesionych, dwa ostatnie udało się ocalić. Pod ciosami oczów i nożów zginęła guwernantka dzieci państwa Stewartów oraz sześć innych panien angielskich, zatrudnionych na misji pielęgnowaniem chorych. Nienawiść tłumu zwróciła się w pierwszej linji przeciwko misji protestanckiej, — czy i o ile zagrożone są jeszcze misje katolickie — nie wiadomo. Położenie członków misji w Kuczeng było już od dawien dawna bardzo groźnem. Świadczy o tem list zamordowanego kierownika misji Stewarta, datowany z pierwszych dni lutego r. b. W liście tym skarzył się Stewart na szybki rozrost nowej sekty tajnej, sekty „wegetarjuszów“. Istniała ona już dawno, ale nie posiadała znaczniejszego wpływu. Dopiero pod koniec wojny chińsko-japońskiej wzmogła się bardzo i zapanowała nad tłumem. Już w grudniu roku zeszłego zagrażała ona życiu i mieniu chrześcjan chińskich, którzy też zwrócili się do misjonarzy z prośbą, aby na wszelki wypadek dostarczyli im broni. Stewart odpowiedział odmownie i starał się chrześcjan uspokoić, tłómacząc im, że krok taki jeszcze bardziej by pogan oburzył. Teraz życiem przypłacił zbytnie zaufanie swoje.

Znawcy stosunków chińskich zapewniają, że zajścia powyżej opisane są zapowiedzią groźniejszych rozruchów, i że wszystkie misje chińskie, katolickie i protestanckie ten sam los spotkać może, jeśli państwa europejskie nie wystąpią energiczniej. Zdanie to podziela najzupełniej rząd angielski, który też zarządził już odpowiednie kroki ostrożności. Łódź działowa „Limmet“, stacjonowana na wodach chińskich, otrzymała rozkaz, aby odpłynęła natychmiast do Fuczeu. Poseł angielski przy dworze pekińskim zażądał nietylko opieki władz dla misjonarzy, ale najszerszego zadosyćuczynienia, a przedewszystkiem ukarania winnych, dalej, aby mu wolno było niezależnie od władz chińskich przeprowadzić śledztwo na miejscu pod ochroną eskorty wojska chińskiego. Rząd chiński przystał na te żądania, a cesarz chiński wydał proklamację, w której zapowiada, że wszyscy uczestnicy zbrodni na misjonarzach dokonanej ukarani zostaną śmiercią.

Korespondencje.

Paryż 6. sierpnia.

(Akademja francuska. — Sarah Bernhardt).

Dość liczni pomiędzy tutejszymi literatami przeciwnicy akademji starają się wmówić w publiczność, że poważna ta instytucja ośmiesza się lichemi swemi wyrobami i od dawna już nie reprezentuje czoła francuskiego świata umysłowego. Twierdzenie to nie jest zgodne z prawdą, skoro bowiem nastąpi wakans, kandydatury omawiane bywają z zapałem, dowodzącym, że fotel w akademji i dzisiaj jeszcze posiada nie małą wartość idealną. Wartość materjalna nie wchodzi tu w rachubę, godność bowiem akademika nie jest synekurą. Dochód akademika, nie opuszczającego żadnego posiedzenia tygodniowego, pogrzebu i innych obchodów, za które wypłacane bywa wynagrodzenie, wynosi w najlepszym razie 2000 franków rocznie. W przeciwnym razie otrzymuje tylko stałą pensję w wysokości 1200 franków. W walce więc o fotel chodzi wyłącznie o zaszczyt, bo i pośredni zysk, jaki osiąga akademik ze swej godności, zwiększając w danym razie zastęp swych czytelników i osiągając wyższe honorarja za swe prace, jest dość problematyczny. Trzy wdowy po bardzo głośnych członkach akademji otrzymały w ostatnich czasach skromne pensje od państwa, ponieważ ich mężowie nie byli w stanie zapewnić im przyszłości.

Co się zaś tyczy jakości wyborów akademickich, to w rzeczy samej niektóre pominięcia w ostatnich czasach mało są usprawiedliwione i zasługują na potępienie, twierdzić jednak nie można, jakoby w ten sposób działo się dopiero od dzisiaj. Dzieje czterdziestego pierwszego fotelu, napisane niegdyś przez Arsenjusza Houssaye, ojca świeżo mianowanego akademika Henryka Houssaya, obejmują nazwiska Descartesa, Pascala, Molière'a, Lesage'a, Rousseau, Diderota, Beaumarchais, Balzac'a, Berangera, Dumasa ojca i Flauberta. Dzieje te jednak służyć powinny dzisiejszym członkom akademji za przestrogę, aby świetnemu temu szeregowi nie akademików nowemi pominięciami nie przysporzyli nowego blasku.

Porównując dzisiejszych członków akademji z ich poprzednikami, dochodzimy do wniosku, że ogólna wartość naukowa i umysłowa pozostała mniej więcej ta sama Zdanie to wygłasza pomiędzy innymi głośny krytyk Sarcey, który od dawna mógł był już zająć miejsce w akademji, gdyby stale nie odrzucał wszelkiej kandydatury. Młodszy pewien uczony zbadał dokładnie w *Revue Scolaire* spis akademików z roku 1826 i doszedł do wniosku, że zaledwie sześciu ówczesnych akademików znanych jest jeszcze z nazwiska, oraz, że dzieła nawet tych sześciu dzisiaj nie są już czytane. *Fichtre, il est difficile* protestuje Sarcey familjarnym swym sposobem, ponieważ pomiędzy tymi sześcioma znajdują się Chateaubriand, Delavigne, Villemain, Cuvier i Laplace. Sarcey sam zapewnia, że dzięki starszemu wiekowi i lepszej pamięci, zupełnie nieznanym z pomiędzy 40 akademików r. 1826 jest mu jeden tylko Cessac. Zresztą trudno od akademji wymagać więcej, niż to, aby posiadała w każdym okresie jedną pierwszorzędną gwiazdę, około której grupuje się kilka lub kilkanaście głośnych, ogólnie znanych imion. Nie można przecież żądać, aby akademja zawsze obejmowała czterdziestu cieszących się ogólnem uznaniem literatów i uczonych.

Co się tyczy ostatniego opróżnionego fotelu, dzisiaj już twierdzić można z wszelką pewnością, że n i e o t r z y m a go Zola, który wytrwale po raz piętnasty czy szesnasty stawia kandydaturę. Obecnie zarzucają Zoli jego postawę we Włoszech Ponieważ papież nie udzielił mu posłuchania, przeto Zola bez wszelkich zastrzeżeń rzucił się w ramiona sabaudzkich i należących do potrójnego przymierza Włoch, pozwolił się fetować przez króla Humberta i Crispi'ego i w mowach swych bankietowych wspominał z rozczuleniem włoskie pochodzenie swego ojca. Wskutek tego zarzucają mu brak patrjotyzmu, ponieważ król Humbert i Crispi należą do kombinacji politycznej, zwracającej się swem ostrzem przeciw Francji. Wszystko to nie jest jednak niczem innem, tylko pozorem. Właściwej przyczyny szukać należy w tem, że większość członków akademji potępia sposób pisania Zoli i to zarówno co do formy, jak co do treści. Obronić też można zupełnie dobrze tezę, że język Zoli, pomijając już wszelkie naturalistyczne jaskrawości, nie jest poprawną francuzczyzną. Ale i prozy akademika Piotra Loti, któremu akademja już przed czterema laty dała pierwszeństwo przed Zolą, nie można kłaść na stylistyczną wagę złota, a o akademiku Vogüé wyraził się przed niedawnym czasem, co prawda z pewną przesadą Barrès, że lepiej pisze po rosyjsku, niż po francusku.

W drugiej akademji, a mianowicie w akademji Goncourta, skreślono, jak wiadomo, Zolę w chwili, w której ubiegać się zaczął o fotel w akademji francuskiej. Jak donosi znany sprawozdawca literacki Juljusz Huret w *Figarze*, Goncourt do wchodzącego po jego śmierci w życie stowarzyszenia wybrał następujących dziesięciu członkow: romansopisarza Daudeta, Rosny'ego, Mirbeau, Huysmans'a, Maurgueritte, Hermanta, Hervieu, i Rodenbacha, krytyka Geffroy i polityka i literata Barrès'a. Wspaniałomyślniejszy od konkurencji w pałacu Mazarina, przyjął do swej akademji Belgijczyka Rodenbacha, cudzoziemca. Goncourt stara się przedewszystkiem francuskim romansopisarzom oddać sprawiedliwość, odmawianą im przez akademją francuską. Ale porównania z małą jego akademją wielka akademja obawiać się nie ma potrzeby. Jeden tylko Daudet stanowi w tem stowarzyszeniu pierwszorzędną gwiazdę, a obok niego cieszy się Margueritte pewną popularnością; reszta mało jest znaną szerszej publiczności. Akademja Goncourta stanowić będzie zebranie wybitnych talentów literackich, ale tak samo, jak akademja francuska, składać się nie będzie z samych pierwszorzędnych autorów.

Sara Bernhardt powróciła z Londynu bogatsza w sławę niż w gotówkę, i wypoczywa w bretońskim swym zamku po tryumfach londyńskich. Jak oświadczyła swym przyjaciołom, nie będzie występowała w nadchodzącej zimie w Paryżu, lecz w innych stolicach europejskich, w Berlinie, Wiedniu, Peszcie i przy tej sposobności pożegna się z publicznością europejską. Pożegnanie z Paryżanami nastąpi po Wielkiej Nocy. Teatr Renaissance, którego dochody, o ile się zdaje, pozostają znacznie w tyle po za piewotnemi oczekiwaniami, zamyśla wydzierżawić; umowę ze starszym Ccquelin'em rozwiązała, grać jednak będzie z nim wspólnie podczas gościnnych swych występów. Artystka pracuje obecnie usilnie nad swemi pamiętnikami, które bliskie już są ukończenia, lecz pojawią się dopiero po jej ustąpieniu ze sceny (A więc nigdy!) Spółka amerykańskich wydawców ofiarowała Sarze za jej dzieło 800,000 fr., odrzuciła jednak tę ofertę, ponieważ zamyśla wydać je sama. Pamiętniki pojawią się w dwóch tomach w taniem popularnem i zbytkownem wydaniu. Zbytkowne to wydanie, ilustrowane przez najwybitniejszych artystów, wybite będzie w 5.000 egzemplarzach po 200 fr. Wydanie książkowe będzie jednak poprzedzone przez ogłoszenie pamiętników w jednym z paryskich i nowojorskich dzienników.

KRONIKA.

Pamiętajmy o fundacji imienia Tadeusza Kościuszki.

Kalendarz. Poniedziałek (12.): Klary panny. Wschód słońca o godzinie 4. minut 57, zachód o godzinie 7. minut 9.

„Finis Germaniae 1870“. Pisma zagraniczne donoszą, że nie wielu zapewne osobom wiadomo, iż Napoleon III., wybierając się na wojnę przeciw Prusakom w roku 1870, kazał w mennicy swojej odbić medal z powyższym napisem. Medal taki ma się znajdować w ręku jakiegoś jegomościa w Rappoltsweiler. Na jednej stronie umieszczona jest podobizna Napoleona III, okolona wieńcami laurowemi, a z drugiej napis: *„Finis Germaniae 1870“*. Medal ten wykonanym jest ze srebra i posiada wielkość talara. Nie mamy wprawdzie powodu bronić teraz Francuzów, ale zdaje nam się, że to jest blagą — bo nawet przed wojną 1870 r. Francuzi pod tym względem nie byli tak naiwni, ani tak zarozumiali.

Czujność na morzu. Pewnej nocy, na jednym ze statków pasażerskich, będących na pełni Oceanu, usłyszano głos trąby okrętowej, alarmującej na gwałt. Przerażeni podróżni powyskakiwali w koszulach ze swych kajut na pokład, krzycząc w niebogłosy: „Czy okręt tonie?“ — „Broń Boże“ — odrzekł kapitan. „Ale są podróżni, którzy zasnąć nie mogą z obawy, że może służba nie czuwa na okręcie. Otóż, ażeby ich przekonać, że tak nie jest, kazałem dać sygnał alarmujący i nic więcej. A teraz kładźcie się państwo prędko spać, bo ja was znowu niedługo zbudzę. Czujność na morzu być musi“. Taka podróż z przeszkodami i z morską chorobą musi być miła!

Skąd pochodzą ludzie o blond włosach? — odpowiedź na to pytanie daje jedna z niewielu bajek cygańskich: Onego czasu, gdy jeszcze wszyscy mieli płeć śniadą, włosy jak heban czarne, gdy wszyscy cygański i koczowniczy wiedli żywot — pewna rodzina cygańska z pokolenia Kukuya w wędrówce swojej zaskoczoną została wcześniej, niż zwykle, dość przykrą jesienią. Nastały zimna i deszcze padały. Biedni cyganie rozłożyli swój obóz u podnóża gór i oczekiwali ciepłego słonka lub srogiej zimy. Po kilku dniach słoty niebo się wypogodziło, słonko zajaśniało i luba jesień ostatnim uśmiechem przez kilka dni jeszcze darzyła czarne oblicza cyganów. To też śpiewali i tańczyli przed swymi szałasami wędrowni biedacy, gdy nagle niebo czarną oponę na siebie przybrało, a wiatr złowrogi zahuczał, zaszumiał, poczem grad olbrzymi, do jaj gołębich podobny, jął padać. Dlatego trwoga wszystkich ogarnęła i już powzięli zamiar ucieczki, albowiem pewni byli nieszczęścia, jakiem ich często nieba obdarzały. Aliści, z za chmury zjawia się nagle postać niewiasty cudnej urody. Ciało jej śliczne, śnieżnej białości, włosy jak złoto błyszczące, oczy do niebios lazuru podobne i w te się do nich odezwała słowy: „Jestem małżonką króla mgły i panią śniegu, zamieszkuję kraj daleki, gdzie wieczne śniegi i mrozy panują. Tam mi mówiono, że tu na ziemi wśród was są ludzie, co żyją w miłości, która im szczęście lub nieszczęście daje. Ja nie znam miłości, nie znam cierpienia i nie wiem wcale, co miłość znaczy! Chciałabym poznać ów ogień miłości, mimo, że cała składam się z zimna i brył lodowych. Któż z was mnie — co miłość znaczy — objaśnić zechce i jak rozkoszy tej doznaćbym mogła?“ Na te słowa wystąpił młodzian, co najpiękniejszym zwał się w tym rodzie, i rzecze do niej: „Ja cię objaśnię! ja cię pokocham, a później ty mnie już kochać będziesz!“ I objął ją silnie swemi ramiony, lecz prędzej jeszcze odskoczył od niej, gdyż była zimna jak bryła lodu, a na jej ustach jakby śnieg spoczywał. Mimo to jednak sprawiono wesele i znów cygańska rodzina, wesoła, swą nową panią w swój namiot wprowadziła. Gdy za dni parę stamtąd wybiegła, czuła się cała przeistoczoną. Na śnieżnem licu róże jaśnieją, na ustach karmin, a w oczach ogień i zapał błyszczy. Była piękniejszą, niźli w dniu pierwszym swoich odwiedzin w cygańskim szałasie, ponieważ miłość uczuła w sobie, ponieważ rozkosz miłości poznała. Po roku syna wydała na świat, a był on także blondynem jak matka, a oczy takież jak u matki lśniły, a miłość jej teraz jeszcze się bardziej wzmogła dla cygana.

Przez lat dwadzieścia żyli szczęśliwi w miłości pokoju, a wszystkie dziatki do matki podobne. Lecz, jak to zwykle bywa, po dniach szczęścia i smutek nawiedza. Tak i w poczciwą rodzinę cygańską grom niespodzianie rozpaczy uderzył. Umarł mąż i ojciec... została wdowa... zostały sieroty..., które go długi czas opłakiwały. Zaś wielu z mężczyzn o piękną wdowę staczało walki — ale napróżno, gdyż ona wszystkich z niczem odprawiała i żyła smutna dla swych dziateczek, dla nich pracując i o nich myśląc, aby im przyszłość zgotować przyjemną. Pewnego wieczoru, gdy księżyc świecił, gwiazdki igrały, rzekła zebranym cyganom te słowa: „Mój mąż, król mgły, wzywa mnie do powrotu. A gdy przychodząc do was tu, przyrzekłam, że doń powrócę, gdy miłość ma zamrze, więc bądźcie zdrowi, bo spieszę jego zapoznać z miłością. Lecz dzieci moje pozostaną z wami, tylko kochajcie je, jak ja je kochałam, bo ja nad niemi czuwać nie przestanę, a o was także nigdy nie zapomnę. Bywajcie zdrowi!“ I w tejże chwili mgła się zsunęła i piękną panią wzięła w swe objęcia. Biedni cyganie patrzyli długo, jak się wznosiła w górę pod obłoki i tam zniknęła. Dzieci jej zdrowo rosły i jeszcze bardziej się rozrastały — a z nich pochodzą dziś ludzie-blondyni.

Zbrodnia w Aniche. Z powodu zamachu dynamitowego na dyrektora kopalni w Aniche pod Douai, o którym wiemy już z telegramów, część prasy tamtejszej woła: oto anarchiści wkraczają znów na scenę! Przytłumieni chwilowo surowością nowych praw, teraz, gdy dozór nieco osłabł, podnoszą głowy! Trzeba pomyśleć o nowych środkach bezpieczeństwa!

Należy zaznaczyć, że śledztwo nie wykazało jeszcze nic takiego, coby pozwalało przypuszczać, że zabójca, który sam już przemówić nie może, albowiem, jak niegdyś Pauwels w kościele św. Magdaleny, sam padł ofiarą swego zamachu, — należał do jakiejś zorganizowanej bandy. Organy miejscowe, jak *Echo du Nord* i t. d., znając lokalne stosunki, podają raczej za przyczynę zbrodni zemstę osobistą i ogłaszają szczegóły następujące:

Pan Vuillemin jest od lat pięćdziesięciu dyrektorem kopalni węgla, należących do stowarzyszenia akcyjnego. Skończył on szkołę sztygarów, był starszym majstrem z początku i stopniowo doszedł do stanowiska dyrektora. Był on sprężystym administratorem i gdy w roku 1893 wybuchło bezrobocie, wydalił kilkunastu przewódców, między innemi dwudziestopięcio letniego Klemensa Decoux, który znany był ze swoich rewolucyjnych poglądów i wygłaszał ogniste mowy na zebraniach.

Z okazji pięćdziesięcio letniego jubileuszu pracy dyrektora, mającego już siedmdziesiąt cztery lat, zorganizowano bankiet, w którym miało wziąć udział cztery tysiące osób, w większości robotników kopalni, z których tylko dwudziestu trzech odmówiło składki na bankiet. Podczas bankietu miano wręczyć p. Vuillemin piękną wazę srebrną, kupioną również ze składek robotniczych. Tę uroczystość obrał Decoux do wykonania aktu zemsty, którą od dwóch lat żywił w duszy dla dyrektora.

Rano, o godzinie 10½, w Auberchicourt, jednej z wiosek zamieszkałych przez ludność roboczą kopalni, odprawioną została msza uroczysta, po której Vuillemin, otoczony rodziną, przyjaciółmi i robotnikami, wyszedł z kościoła. Wtedy z tłumu szybko wysunął się Decoux, wystrzelił kilkakrotnie z rewolweru, mierząc w dyrektora, a gdy ten padł na ziemię i chciano się rzucić na zabójcę, ten wyjął z za pasa ukrytą bombę.

Według jednych, rzucił on ją z siłą o ziemię,

według innych upuścił przypadkiem za blisko siebie; dość, że bomba sprawiła wybuch straszny, kilkanaście osób otrzymało mniej lub więcej ciężkie rany od śrutu i kawałków żelaza i gwoździ, a Decoux został podrzucony o jakie dwa metry w górę. Gdy ciało spadło, było prawie nagie: kawałki ubrania znaleziono później na dachach domów, odległych o dwadzieścia metrów! — brzuch był rozdarty, twarz straszliwie pokiereszowana, oczy wysadzone. Ukarany tak strasznie sprawca zamachu dyszał jeszcze.

Rzucono się na niego z wściekłością. Jego własny ojciec, także robotnik z kopalni w Aniche, który wraz z całą rodziną brał udział w uroczystości i bankiecie, kopał syna nogami, przeklinając go straszliwie. Żandarmerja wiejska nadbiegłszy, przeniosła dogorywającego do merostwa, gdzie w parę chwil zmarł.

Dyrektor Vuillemin odniósł kilka ran, z których dwie niebezpieczne w szyję; kul rewolwerowych dotąd nie wyjęto. Jednak lekarze mają wszelką nadzieję wyleczenia go, ze względu na silną budowę.

Władze zjechały natychmiast na miejsce zamachu. W mieszkaniu Klemensa Decoux w Vaziers, gdzie, będąc kawalerem, mieszkał zupełnie sam, odbyto ścisłą rewizję, lecz rezultaty jej trzymane są w tajemnicy.

Słownik języka polskiego. Cytamy w *Kurjerze Warszawskim*: Leży przed nami arkusz próbny wydawnictwa, podjętego pod redakcją pp. Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego, Władysława Niedźwieckiego i Józefa Przyborowskiego. Zważywszy, iż istniejące słowniki języka polskiego (Lindego, Rykaczewskiego i wileński) są już to przestarzałe i niedostateczne, już to wyczerpane i że potrzeba słownika polskiego codzień staje się pilniejszą, panowie wyżej wymienieni powzięli zamiar ułożenia obszernego i dokładnego, o ile możności, skarbca mowy naszej. Prace, rozpoczęte w tym celu na początku roku 1889, obecnie już posunęły się o tyle, że redakcja ma już gotowy do ostatecznego opracowania materjał. Nie będąc w możności ułożenia bardzo obszernego słownika, na jaki zdobyć się mogą tylko liczne, a bogate towarzystwa naukowe, to jest takiego, w którym każdy wyraz byłby objaśniony obszerniejszemi przytoczeniami z całej literatury tak dawnej, jak i nowszej, redakcja nowego słownika obrała drogę pośrednią, to jest ograniczyła się dziełem średniej objętości (dwa razy obszerniejszem od słownika wileńskiego), w którym jednakże, w miarę potrzeby, nie będą pominięte przykłady z lepszych autorów nowożytnych. W słowniku redakcja uwzględniła nietylko wyrazy dawne, lecz i gwarowe, odznaczając je umieszczeniem w klamrach. Znaczenie każdego wyrazu uwydatniono wyrazami blisko znacznemi i takiemi, które się w potocznem życiu najwięcej łączą. Wprowadzono również do słownika żywioł etymologiczny.

Imiona własne, mitologiczne, geograficzne, nazwy herbów i t. p., należące raczej do encyklopedji, niż do słownika, opuszczono. Przed przystąpieniem do ostatecznej redakcji, wydawcy pragną zasięgnąć zdania znawców, co do układu i wykonania dzieła i w tym celu rozsyłają opracowaną cząstkę słownika, jako próbkę sposobu traktowania rzeczy, z prośbą o obdarzenie redakcji uwagami i radami, najpóźniej z końcem października roku bieżącego. Słownik, który pod względem typograficznym przedstawia się bardzo okazale, tłoczyć będzie drukarnia E. Lubowskiego i Spółki.

Manja orderowa. Wiadomo powszechnie, że marzeniem ludzi małodusznych jest posiadanie w jakibądź sposób — jakiegobądź orderu, ażeby się tylko chełpić, że dziurka w klapie jego surduta nie na próżno została przez krawca wymyśloną. Są jednakże różnice między orderami, na które rzeczywistością, a nie blagą, trzeba sobie zasłużyć. U nas chwała Bogu manja orderowa grasuje tylko między tak zwanemi panami, ale za granicą wkradła się już pomiędzy najskromniejsze sfery mieszczańskie. Naprzykład jeden z kupców wiedeńskich, nie mógł sypiać po nocach, że w dziurce swego surduta nie widział orderu. Dowiedział się o tem jego marzeniu pewien kupiec z Sofji, który z naszym Wiedeńczykiem był w stosunkach handlowych. Chciał więc dopomódz biednemu koledze, lub też go „naciągnąć", zaproponował mu, że za złożeniem 2000 franków do kasy rządowej może mu wyrobić order Aleksandra. Sympatyczny nasz Wiedeńczyk nie zwleka długo — posyła pieniądze i w zamian otrzymuje niebawem na prześlicznej wstędze wspaniały order. Uwiadamia czemprędzej urząd o zaszczycie, jaki go spotkał i prosi o pozwolenie noszenia orderu. Wtem za kilka dni, jak piorun z jasnego nieba, uderza w naszego Wiedeńczyka odpowiedź, że nietylko noszenie, ale przyjmowanie nawet bułgarskich orderów nie jest u nas dozwolonem, ponieważ Bułgarja nie posiada legalnego władcy. Zirytowany kupiec zapakował w tej chwili ów order i odesłał go do Sofji z tym nadmienieniem, ażeby go sobie zatrzymano dopóty, dopóki ich książę nie uzyska prawa rozdawania orderów.

Kura i kocięta. Zdarzenie, opisywane przez Henryka Porville w piśmie naukowem *Journal des Débats*, jest chyba dotychczas niebywałem w świecie zwierząt zjawiskiem. Pewna kotka, przebywająca zazwyczaj na podwórzu, po którem chodziły kury, wydała na świat czworo kociąt. Otóż kocięta wzbudziły uczucia macierzyńskie w bezdzietnej kurze. Raz kotka, wracając ze spaceru, zastała ją siedzącą z rozpostartemi skrzydłami na swej progeniturze. Pomiędzy matką rodzoną i przybraną wywiązała się bójka — musiała ustąpić kura; ale nazajutrz kotka wyszła znowu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Natychmiast miejsce jej zajęła kura. I znowu za powrotem kotki, doszło do starcia. Powtarzało się to codziennie, aż dopóki kocięta nie podrosły. Kronika nie wspomina jednak, czy zachowały one wspomnienie czułej opiekunki.

Zyski prezydentów francuskich. *Figaro* usiłuje dowieść, że posada prezydenta republiki nie jest tak zyskowną, jakby sądzić można. Autor artykułu stara się nawet oszczędzić p. Grévy i wykazuje, że „zaoszczędził" w ciągu lat dziewięciu sprawowania swego urzędu 6 miljonów franków, odkładając corocznie połowę swej pensji; przy [illegible] dużo na [illegible] 27 miesięcy prezydentury. Umierając, w gotówce i nieruchomościach pozostawił trzy miljony franków, lecz suma ta pochodziła częścią z posagu jego żony, panny Dosny, częścią z honorarjów i zysków za „*Historję konsulatu i cesarstwa*." Marszałek Mac-Mahon podczas czteroletniego sprawowania godności prezydenta, nietylko nie powiększył, lecz przeciwnie, uszczuplił swą fortunę. [illegible] Carnota dobrze jest znaną. [illegible] dla [illegible] skutkiem [illegible] ani się [illegible] 50.000 [illegible]

Smutny obraz stosunków, panujących na Kubie, z powodu powstania, podaje wychodzący w Hawanie dziennik *Diario de la marina*. „Żółta febra, pisze, szerzy się coraz bardziej z dnia na dzień. Upał jest nieznośny; przytem ulewny deszcz pada nieustannie i drogi są zupełnie niemożliwe do przebycia. Rolnictwo zniweczone, straciliśmy wszelką nadzieję, a wojna z całą nędzą, jaką za sobą pociąga, przedstawia nam obraz przerażający, ponury. Do Nowego Jorku, San-Domingo i Haiti odpływają parowce, które mogą zaledwie pomieścić wychodźców; ludzie uciekają i opuszczają nas, aby gdzieindziej szukać spokoju i szczęścia. Wspaniałe pola bogatych plantacyj kawy, kakao, trzciny cukrowej i tytoniu, pokryte są chwastem; o zbiorach nie ma nawet co mówić, gdyż rośliny są prawie wyniszczone.

Wiadomości kościelne. Djecezja przemyska: Zamianowani honorowymi asesorami Konsystorza biskupiego z powodu jubileuszu kapłańskiego 60 letniego ks. Franciszek Czaszyński, prob. w Sanoku, a 50-letniego ks. Antoni M. Podgórski, emeryt. proboszcz w Woli zarczyckiej. — Aplikowani jako wikarjusze nowowyświęceni: ks. Karaś Wojciech do Szebni, ks. Kochowski Władysław do Dobrzechowa, ks. Kołeczek Ignacy do Święcan, ks. Krysakowski Ignacy do Rymanowa, ks Litwin Walenty do Rudek, ks. Mach Józef do Rokietnicy, ks. Męski Zygmunt do Głogowa, ks. Murdza Marcin do Lubeni, ks. Niepokoy Stanisław do Błażowy, ks. Patla Michał do Komarna, ks. Rogulski Józef do Milczyc, ks. Smoleń Teofil do Rudnika, ks. Szafrański Wojciech do Tuligłów ks. Urbanek Józef do Swilczy. — Przeniesieni księża wikarjusze: Dutschka E. z Szebni do Lipska, Knap St. z Lipska do Jawornika pol., Kotyrcha St. z Jawornika polskiego do Krosna, Stachyrak Józef z Dobrzechowa do Przeworska, Tryczyński Wł. z Przeworska do Przymyśla jako wikarjusz katedralny, Wesoliński A. ze Święcan do Łączek, ks Gondelowski L. z Rymanowa do Turki, ks. Urban Dominik z Rudek do Zarszyna, ks. Pawłoski Aleksander z Rokietnicy do Markowy, ks. Grodecki Józef z Markowy do Harty, Szkodziński A. z Harty do Moszczenicy, Marek J. z Lubeni do Pysznicy, Ziemba Franciszek z Pysznicy do Mrówli, Heynar J. z Mrówli do Rzeszowa, Stankiewicz Stanisław z Rzeszowa do Żołyni, ks. Sidor Michał z Żołyni do Jarosławia, Orłowski A. z Jarosławia do Wesoły, ks. Stankiewicz Tomasz z Błażowy do Bielni, ks. Bauer Roman z Komarna do Jaćmierza, Błażewski W. z Milczyc do Bukowska Kielar Jędrzej z Swilczy do Górna, Kraus. G. z Gorlic do Ołpin, Szurek Tomasz z Ołpin do Gorlic, Nowakiewicz N. z Sanoka do Łąki, Żegleń J. z Łąki do Dukli, Makowiec Wł. z Dukli do Sanoka, Mach Franciszek z Sanoka do Brzostka, Gorczyca A. z Brzostka do Sanoka. — Uwolniony *a cura animarum* i przeznaczony na studja wyższe w Wiedniu ks. Momidłowski Stefan wikarjusz w Głogowie.

Z Iwonicza donoszą nam pod d. 5. sierpnia rb.: Ostatnich dni dziesięć wypełniły nam prace około urządzenia loterji fantowej na cele dobroczynne. Wszystko, co żyło w Iwoniczu, było w ruchu. Główną i lwią część zasługi położyli pp. Pruscy, którzy najwięcej i bardzo ładnych dali fantów i pamiętali o wszystkiem. Również przyczyniły się wielce do powodzenia: p. Emma hr. Załuska, protektorka i p. Schwarzenberg-Czerny, mecenasowa z Krakowa. Zresztą wszyscy goście kąpielowi z gotowością i zapałem składali datki już to w fantach, już w gotówce na ołtarzu ofiarnym. Dochód brutto z loterji i z balu dał około 1100 zł. Jest to rezultat świetny, pomimo że w chwili rozpoczęcia loterji ulewa połączona z grzmotami utrudniła zabawę i zmniejszyła zyski. Kwota uzyskana z loterji i balu użytą zostanie na cele dobroczynne z zastrzeżeniem użycia większej części na ubogich, których w Iwoniczu jest bardzo dużo i którzy istotnie pomocy i ratunku potrzebują Po loterji odbył się świetny bal Par tańczących było 50. Dziś raut na cele dobroczynne, którego urządzeniem zajęła się p. Lewentalowa i pan Poliński, współredaktor *Kurjera Porannego* z Warszawy. W części artystycznej rautu wezmą udział panna Marja Szelińska ze Lwowa i p. Moraczewska, obywatelka z Litwy (śpiew) p. Auber (wiolonczela) i p. Trapszo, artysta dramatyczny sceny lwowskiej (deklamacja).

Ostatnie wiadomości.

Dzienniki niemieckie powtarzają obecnie podaną przed kilku dniami w dziennikach petersburskich wiadomość o zamiarze ministra skarbu urządzenia w Hamburgu składu wyrobów przemysłu rosyjskiego, a *Kreuzztg.* berlińska, której przyjaciele, jak wiadomo, byli bardzo przeciwni traktatowi handlowemu pomiędzy Niemcami, a Rosją obecnie z pewną ironją zaznacza, że „są to skutki traktatu handlowego" i że pewne liberalne dzienniki za to wygłoszą hymny pochwalne dla p Wittego. *Börs. Cour.* odpowiada: „Trzeba być dziwnie zacietrzewionym, aby przypuszczać, że gdziekolwiek, czy to w Rosji, czy gdzieindziej, warunkiem dobrych stosunków sąsiedzkich byłoby zaniechanie starań o rozwój własnego przemysłu. Żaden traktat handlowy nie ma na celu nakładania mężowi stanu jakiegokolwiek państwa obowiązku postawienia kraju swego w zależności ekonomicznej od innego. Raczej naturalnym zupełnie obowiązkiem każdego męża stanu jest działać przeciwnie, a tylko dziwak mógłby się w tem opatrywać naruszenia dobrych stosunków sąsiedzkich.

Warunkiem utrzymania dobrych stosunków sąsiedzkich jest tylko, aby się, niezależnie od poparcia, udzielanego własnemu przemysłowi, nie stawiało przeszkód sąsiadowi. Dziwna rzecz, iż *Kreuzztg.* tak prostych rzeczy nie rozumie."

Z powodu powrotu deputacji bułgarskiej do kraju. *Now. Wrem.* pisze między innemi:

„Rozumiemy w zupełności trudności obecnego położenia metropolity Klemensa i prezesa zgromadzenia narodowego, Teodorowa. Znowu będą musieli mieć styczność przedewszystkiem z przedstawicielami porządku rzeczy, bezwarunkowo nie uznającego Rosji. Trudno przypuszczać, aby nie usiłowali *ménager la chèvre et la chou*, jak mówią Francuzi. Po wizytach i rozmowach z pp. Stoiłowem i Nacewiczem przyjdą naturalną koleją rzeczy narady z ks. Ferdynandem Koburskim, kiedy ten ostatni powróci do Sofji. Co będą mówić na tych naradach i konferencjach metropolita i prezes sobrania? Obaj wiedzą, że zupełne pogodzenie Rosji z Bułgarją może przyjść do skutku wtedy, gdy obecny porządek w Bułgarji ustąpi miejsca porządkowi rzeczy, uznawanemu za prawny przez rząd rosyjski. Taka wszakże zmiana jest niemożliwą do przeprowadzenia inaczej, jak tylko drogą wyboru nowego księcia, którego kandydatura zyska aprobatę Rosji i pozostałych mocarstw, które podpisały traktat berliński. Czy można się spodziewać w obecnej chwili zgody wszystkich państw pod tym względem? Dopuszczając nawet niemożliwe, a mianowicie, że Rosja zgodzi się na prawnie postawioną kandydaturę ks. Ferdynanda Koburskiego, lub też na kandydaturę jego syna, małoletniego ks. Borysa, odmowa ze strony Wiednia jest rzeczą pewną, a kto wie, może i ze strony Niemiec. Tymczasem wszelka inna kandydatura proponuje dobrowolne usunięcie z Bułgarji jej obecnego nieprawnego rządcy. Sprawa jest zbyt skomplikowana, aby załatwienie jej mogło nastąpić szybko, pomimo przyjemnych wspomnień, wyniesionych z Rosji przez metropolitę Klemensa i jego towarzyszów."

Niektórzy politykujący Rosjanie dostali pewnego zawrotu głowy, w następstwie ostatnich powodzeń rosyjskiej polityki zagranicznej. Organem różnych fantazyj politycznych na temat teraźniejszych i przyszłych sukcesów Rosji stał się szczególnie *Swi t* p. Komarowa. Niejakiś Majkow, współpracownik tego dziennika, zastanawiając się nad uroczystościami w Kiel i nad korzyściami przeprowadzenia kanału Północnego dla Niemiec, zaczął przypominać błędy polityki rosyjskiej z ostatniego stulecia, która dzięki owej nieprzezorności i pobłażliwości, dopuściła do wzrostu Prus, do upokorzenia Danji i Francji, do utworzenia potężnego cesarstwa niemieckiego, z wyraźną szkodą dla innych interesów. Za wszystko to, co Rosja zrobiła dla Niemiec, zbierała — jak twierdzi p. Majkow — same tylko owoce niewdzięczności. Zdaniem jego, Prusy mogłyby choć w części uiścić się z długu wdzięczności, zaciągniętego przez państwo niemieckie i dynastję Hohenzollernów względem Rossji, gdyby np. zrzekły się dobrowolnie na jej korzyść wszystkich swych posiadłości po prawej stronie Wisły wraz z Gdańskiem Byłoby to koniecznem sprostowaniem granic, które „przechodząc na wschodni brzeg Wisły, wdarły się tak potwornym klinem w obręb państwa rosyjskiego." Czytając ponownie naiwne kombinacje polityka z obozu panslawistycznego, mamy wyborny komentarz do tej dobroduszności i łatwowierności, jakiemi odznaczała się niejednokrotnie dyplomacja rosyjska w stosunkach z Prusami

---

Wychodząca w Hawanie urzędowa gazeta hiszpańska publikuje następujący dekret:

Artykuł 1. Zabrania się ogłaszać sprawozdania o jakichkolwiek ruchach wojsk, chyba, że są wizowane przez rząd.

Artykuł 2. Rząd informować będzie dzienniki w wypadkach, w których uzna to za potrzebne.

Dekret powyższy jest nowym dowodem bezsilności rządu, wydanie bowiem takowego nie może być inaczej tłumaczone, jak tylko zamiarem reprezentacji rządu hiszpańskiego stłumienia wszelkich, choćby prawdziwych, ale niedogodnych wiadomości o stanie rewolty.

Telegramy „Dziennika Polskiego."

Wiedeń 11. sierpnia. *N. fr. Presse* donosi, iż wkrótce ma być wydanem rozporządzenie ministerjalne, tyczące się zachowania się urzędników państwowych pod względem politycznym.

Londyn 11. sierpnia. Mimo wszelkich zaprzeczań o autentyczności „komunikatu" rosyjskiego w sprawie bułgarskiej — takowy jest prawdziwym. Jest to tylko pomyłka biur telegraficznych, które komunikat *Norda*, organu rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych podały zapóźno, i chciały swą opieszałość naprawić „wymyślonym" komunikatem drugim.

Kopenhaga 11. sierpnia. Carowa — wdowa oświadczyła otwarcie, iż sprzyja bardzo kandydaturze ks. Jerzego greckiego na księcia Bułgarji. Książę może być pewnym, że Rosja nietylko że nie odmówi swej aprobaty, ale z całą forsą tak sympatycznego kandydata popierać będzie.

Sofja 11. sierpnia. Redaktor *Sglasja* oświadczył w śledztwie, iż artykuł, tyczący się kandydatury księcia Jerzego greckiego na tron bułgarski, inspirowała bardzo wysoko postawiona osoba w Rosji. (Patrz telegram z Kopenhagi. *Red.*)

Belgrad 11. sierpnia. Kursuje tutaj pogłoska, iż w razie, jeżeli książę Jerzy grecki przyjmie tron bułgarski, Bułgarja będzie ogłoszoną zupełnie wolnem królestwem. Jak słychać rząd carski popiera tę myśl usilnie, chce bowiem wyrwać Bułgarję z pod lennictwa Turcji i umożliwić wstąpienie na tron kandydatowi jednej z panujących dynastyj, spokrewnionych z dworem rosyjskim.

Przyjechali do Lwowa

dnia 10. sierpnia 1895.

HOTEL ŻORZA. W. Gniewosz z Kontów. A Hulimka z Mycowa S. hr. Zamoyski z Wysocka. A. Cielecki z Porchowy. W. Jakubowska z Zahocza. J. Kleski z Kołomyi. M. Brykczyński z Pacykowa. O Schnell z Firlejówki. Dr, J. Horodyski z Wygnanki. J. Cielecki z Byczkowiec. B. Kuczyinszky z Koszyc. H. Ruhrmann z Prus.

HOTEL EUROPEJSKI. M. hr. Tyszkiewicz z Brodów, I hr. Tyszkiewicz z Brezna J. Skompka ze Złoczowa. A. Horodyski z Kociubiniec. W. Horodyski z Żabiniec. K. Malsburg z Dublan. Dr. N. Apfel z Drohobycza. J. Stanek z Wiszenki J. Wiśniowski z Kłodna. Dr Langer, dr. Landesberg z Tarnopola. L. Abramowicz z Kijowa. J. Horodyski z Kolendzian. M Głębocka z Wołynia. E. Heller z Krakowa. E. Łastawiecki z Bukowiny. Ks. R. Motiuk, J. Spirydowicz z Marjampola J. N. Pawłowski z Bochni. W. Malinowski z Hruszowa.